

# Grzybów było w bród...

Grzybobranie, dzięki pięknemu opisowi w *Panu Tadeuszu*, zyskało nobilitację jako istotna część naszej kultury narodowej; zwyczaj znany w Europie Środkowej, a obcy np. Francuzom, Anglikom, Skandynawom, nie mówiąc o Amerykanach, którzy nie wezmą niczego do ust, o ile nie zostało to wcześniej fabrycznie przetworzone, opakowane w blachę, szkło lub plastik.

Francuzowi przez myśl nie przejdzie, że polskie rydze na maśle lub prawdziwki w śmietanie mogą być lepsze od francuskich truflif. Zaraz po II wojnie światowej, Anglicy spotkawszy w lesie polskich amatorów grzybów wszczynali alarm, sądząc, że są to kandydaci na samobójców. A jakie cudne grzyby, których nikt nie zbiera rosną w Skandynawii! Choć pewien grzybiarz mówił mi, że tamtejsze prawdziwki są pozbawione aromatu i trzeba je wymieszać z krajowymi.

Kiedy w połowie lat 50-tych spędzałem wakacje u zaprzyjaźnionego górala w okolicach Doliny Chochołowskiej, grzybów było mnóstwo. Krótki spacer wystarczył, by wrócić do domu z koszem rydzów, prawdziwków, kurek, maślaków. Z letnikami prowadziłem handel wymienny, zamieniając nadmiar grzybów na obiad lub kolację. I czy tylko wyidealizowanej pamięci dzieciństwa zawdzięczam wspomnienie, że w tamtych czasach łąki drżały, powietrze tętniło śpiewem świerszczy, w lasach ptaków było więcej niż dziś, w potoku można było spotkać pstrągi? Drogą do Witowa przejeżdżało w ciągu dnia ledwie kilka samochodów, w górach ludzie pozdrawiali się wzajemnie, w cenie była brązowa i srebrna Górską Odznaką Turystyczną, a Zakopane to jeszcze nie było „Zdeptane” (przez nadmiar stonki turystycznej). Nic już nie jest takie jak dawniej.

W połowie lat 80-tych, kiedy żył jeszcze mój Ojciec, jeździliśmy w połowie września całą rodziną do Międzychodu, małego miasteczka w Puszczy Noteckiej, gdzie grzybów było pod dostatkiem (fizycy ponoć twierdzą, że powietrze z Czarnobyli ominęło całą Puszcę Notecką). Wynajęcie domku kempingowego nie kosztowało dużo, zresztą nie byliśmy sami – przyjeżdżali tam masowo grzybiarze z Łodzi i ze Śląska. Mimo to wystarczył dwu- trzygodzinny spacer po lesie, by wrócić z wia-

drem pełnym podgrzybków i prawdziwków. Suszone, marynowane, starczały potem na cały rok. Słoik marynowanych grzybów był znakomitą walutą wymienną u fryzjera, krawca, sąsiada „złotej rączki” i nigdy bym nie podejrzewał, że ileś lat później przeczytam w pismach ekologicznych, że ten rodzaj handlu wymiennego jest przez te pisma ogłoszony jako nowina, nowa forma obrotu bezgotówkowego.

Do dziś mam ogromny szacunek dla wiejskiego chłopca, który cały dzień zbiera grzyby, aby potem sprzedawać je przy brzegu szosy, by zarobić na rower czy komputer. Próby zakazania takiego handlu, będącego na ogół przywilejem najbiedniejszych, są zwykłym kretyństwem. Takim samym, jak „prerażające” komunikaty w stylu: „znowu zatrucie grzybami!”. Idę o zakład, że w ciągu całego roku jest mniej ofiar zatrucia grzybami, niż w ciągu jednego dnia, poszkodowanych przez pijanych kierowców. J.W.P. Samochodu.

A może warto byłoby jeden numer „Zielonych Brygad” w całości poświęcić grzybobranu i grzybiarzom? Kto chodzi po lesie, z konieczności lub dla przyjemności – ten przecież może być, lub jest sympatykiem ekologów. Jego uwagi o stanie polskich lasów mogłyby być ciekawe dla ekologów, przyrodników, leśników.

Może warto przypomnieć grzyby w polskiej literaturze, kulturze? Może Polska Partia Grzybiarzy byłaby najbardziej demokratyczną i proekologiczną partią? Może dzięki polskim grzybiarzom mieszkańcy krajów UE polubiliby polskie (narodowe) potrawy z grzybów? Może polskie przetwory z grzybów zyskałyby sobie markę wyjątkową – jak oscypek czy śliwowica łącka? A tego, że grzyby raczej wolą czyste i zdrowe lasy chyba nie trzeba głośno mówić, bo to przecież oczywistość.

Grzybiarzy i grzybojadów pozdrawiam pięknie, polecając opiece leśnych duchów.

**Paweł Zawadzki**

PS

Polecam grzybobranie w Krzyżu Wielkopolskim, sercu Puszczy Noteckiej, świętym mieście polskich grzybiarzy!!!